

PANI IZA

Barbara Sułek-Kowalska

Zobaczyła kiedyś w szkole chłopaków przy ping-pongu. Od jednego pożyczyła paletkę, drugiego wezwała do gry. I obu rozłożyła, a żaden się tego nie spodziewał. Bo i po kim: po starszej pani, dostojnej Izabeli Dzieduszyckiej, założycielce szkoły? Ale nie wiedzieli, że grają z dwukrotną mistrzynią Polski!

Miała dziesięć lat, kiedy mama kupiła stół ping-pongowy, a starsi bracia zupełnie jak ci chłopcy też nie mogli pojąć, że mała Iza z nimi wygrywa.

- To było szczęśliwe dzieciństwo - opowiadała mi wiele lat temu podczas kilkugodzinnej rozmowy u siebie w domu, rozmowy z której notatki zachowałam szczęśliwym trafem do dzisiaj – dom był przepełniony miłością i chociaż tata zmarł, kiedy miałam sześć lat, to mama miała dla nas sześciorga i serce, i czas i wspaniałe pedagogiczne podejście.

Byli niemal klasyczną rodziną z Wielkopolski, pracowitą i oszczędną, ale i uspołecznioną niezwykle, z ziemiańską i mieszczańską tradycją patriotyczną i pozytywistyczną. Ojciec był prezesem kółek rolniczych i organizował wspólne spotkania ziemian i gospodarzy, a mama leczyła wszystkich we wsi.

- Wszyscyśmy lubili konną jazdę, ale dla mnie nigdy nie starczyło konia, czworo starszego rodzeństwa zawsze mnie wyprzedziło. Miałam dziewięć lat, kiedy poszłam do mamy z żalem, że tak dalej być nie może, ja sobie kupię kuca. Ale za co? Przedstawiłam bardzo konkretne pomysły: mam króliki, więc będę je hodować i sprzedawać, mam dwie owce, więc będę je czesać na wełnę, będę grabić liście, zrezygnuję ze słodyczy i poproszę, żeby zamiast prezentów dawano mi pieniądze. I mama się zgodziła! Przez rok ciężko pracowałam i w 1938 roku miałam już kuca. To zupełnie tak jak z moją szkołą – opowiadała mi wtedy.

Bo Izabela Dzieduszycka założyła i rozbudowała międzyparafialne Przymierze Rodzin i zbudowała Szkołę Przymierza Rodzin na warszawskim Ursynowie, podstawową i liceum, do kilku lat dołożyła do tego Szkołę Wyższą dla młodzieży z terenów zaniedbanych, Objęła patronatem Przymierza Rodzin szkołę w Garwolinie, przyjęła w struktury kolejną szkołę podstawową, powołała jeszcze jedną w Warszawie i zainicjowała sieć świetlic terenowych, żeby w mniejszych ośrodkach dzieci mogły spędzać czas we właściwym środowisku: katolickim, opartym o silną rodzinę, budującym system stabilnych wartości, uczącym pracy i chęci pomocy innym. Ale dlaczego kucyk ma być ich symbolem?

- Nauczył mnie, że trzeba wytyczać dobre cele i dążyć do ich realizacji – mówiła Iza – trzeba się do nich przygotowywać i nie zaniedbywać żadnych możliwości. Uczyć się rezygnować z różnych atrakcji na rzecz tego celu. Nie użalać się, tylko brać się do pracy nad sobą.

I tak właśnie - „Kucem na Ursynów” - nazwała swoje wspomnienia [spisane i opracowane przez Elżbietę Misiak-Bremer] wydane w 2011 roku. Bo gdyby nie te jej cechy, które doprowadziły do kupna kuczka, to może dziś nie byłoby szkół na Ursynowie i tych innych wspaniałych inicjatyw, które wymieniłam i następnych, o których za chwilę.

Ale też miało co tę niezwykłą osobę hartować, oj miało.

- W 1939 wszystko się skończyło: dom przepełniony miłością, konie, serdeczni ludzie ze wsi, zaufanie – opowiadała Iza, z domu Bojanowska. . –

Ich majątek w Niechłodzie, w powiecie leszczyńskim, leżał piętnaście kilometrów od niemieckiej granicy. - nasze lasy to już była granica, a lasów trochę było, bo ojciec z każdym nowym dzieckiem sadił dziesięć hektarów - wspominała.

Przez Niemców zostali wyrzuceni w listopadzie 1939, przez komunistów po powrocie w 1945. Wojnę spędzili w Sandomierskiem i w Starachowicach. Poza najmłodszą siostrą –

wszyscy z mama włącznie byli zaprzysiężeni w Armii Krajowej. Tajne komplety, przewożenie broni i meldunków i – kiedyś - stu tysięcy organizacyjnych pieniędzy w płóciennej torbie na dworcu w Skarżysku-Kamiennej, aresztowanie starszej siostry, która wylądowała w KL Auschwitz – i mama, która codziennie starała się być na mszy i każdemu dziecku dała na konspiracyjne wyposażenie obrazek z Panem Jezusem. I wciąż tworzyła dom, a jej wiara – opowiadała jej córka – budowała naszą ufność, że Bóg nad nami czuwa. Umarła już 1947 roku.

- W Niechłodzie, u mamy w saloniku, wisiał portret Edmunda Bojanowskiego, stryjecznego brata pradziadka. Mama czasami zabierała mnie do nieodległej Górki Duchownej, gdzie zmarł ten święty człowiek, choć wtedy nikomu z nas się nie śniło, że naprawdę będzie błogosławionym Kościoła katolickiego.

Nie da się ukryć, że Izabela Dzieduszycka, z domu Bojanowska naprawdę poszła w ślady swego świętego przodka, który – jako świecki ! – założył w połowie XIX wieku kwitnące do dziś zgromadzenie zakonne siostr służebniczek i wizjonersko przygotował je do pracy oświatowej i charytatywnej z zmysłą o przyszłej wolnej ojczyźnie, bo założył domy zgromadzenia we wszystkich trzech zaborach. I był wielkim orędownikiem tego, co dziś nazwalibyśmy „wyrównywaniem szans” – zakładał dla wiejskich biednych dzieci ochronki i wprowadzał je w podstawy edukacji: pacierz, alfabet, czytanie i pisanie. A to była wtedy wielka sprawa, zwłaszcza ze zaraz potem przyszedł na tamtych terenach Kulturkampf i minimum polskiej kultury dawało nierzadko maximum życiowych postaw.

W 1995 roku Pani Iza ciężko chorowała na nowotwór płuc. W chorobie zanurzyła się w „Dziennik” Edmunda Bojanowskiego

- Bardzo pomógł mi przeżyć ten czas - opowiadała – i zrozumiałam wtedy, że Edmund jest kimś naprawdę na nasze czasy! I zastanawiałam się, dlaczego to mnie matka zabierała ze sobą do Górki Duchownej i dlaczego to mnie o nim mówiła?

Edmund Bojanowski jest dziś patronem Przymierza Rodzin i patronem Szkoły Wyższej PR. Ale dla Izabeli Dzieduszyckiej jest kimś naprawdę bliskim, bo pamiętam jej wspaniałą reakcję na wierszyk, który na jednym z obozów Przymierza Rodzin ułożyli mali chłopcy, a który przez ich wychowawców – raptem licealistów, ale to taki poważny wiek – nie został „dopuszczony” do wieczornych występów: „Edmund Bojanowski miał wielkie troski, budował ochronki rozdawał mielonki”. Pani Iza uważała, że to znakomite podsumowanie społecznikowskiej pasji świętego i jeszcze w dodatku dokumentacja obozowego menu (mielonki) i śmiała się do rozpuku, a śmiech miała cudowny, zaraźliwy i radosny.

Dlatego teraz przyszła w tym reportażu pora, aby zdradzić wielką tajemnicę Pani Izy, której tyle osób mówiło, jak bardzo się poświęca i pytało, skąd bierze na to siły.

- poświęcić, to złe słowo – mówiła mi wtedy – bo ja to robie z radością, ja nic nie poświęcam. Moja własna rodzina daje mi tyle szczęścia i radości, że muszę dzielić się tym z innymi. Także rodzina, w której się wychowałam, zawsze była blisko Boga i blisko Kościoła, stad ciepło i radość. No i przede wszystkim to, że mój mąż był moim mężem, pozwoliło nam tyle zbudować. To był człowiek wielki duchowo, mogliśmy stworzyć dom i rodzinę na miarę naszych marzeń.

Tadeusz Dzieduszycki z Zarzecza pochodził z podobnej jak ona rodziny: trzynaścioro dzieci, wiara i miłość, kulturotwórcza rola dworu, dom otwarty dla innych. W czasie wojny gromadziły się tam dziesiątki poszukujących schronienia czy pomocy, w tym także ks.dr Stefan Wyszyński, o czym kiedyś z radością Pani Iza od niego usłyszała. Tadeusz w czasach stalinowskich pracował jako zawodowy kierowca, bo dla takich jak on innego miejsca nie było.

- kierowca! a ja na pierwszej randce wsadziłam go na mój skuter osa i pomknęliśmy do Żelazowej Woli – podkreślała z dumą, że się nie wystraszył.

Ose kupiła za honorarium , jakie dostała za książkę „Przemysł okrętowy”. Iza Dzieduszycka bowiem, po studiach w poznańskiej Akademii Handlowej, była specjalistką od okrętów i choć z powodu „niewłaściwego” pochodzenia szykanowana i zwalniana, zdołała się jednak przebiec ze swą znajomością zapotrzebowania na statki w skali światowej. I pracowała trzydzieści dwa lata aż do 17 grudnia 1981 roku, kiedy to w całkowicie nieemerytalnym wieku 53 lat została zwolniona w trybie „stanu wojennego” za przynależność do „Solidarności”.

- Skąd był we mnie spokój? Z mojej wiary w opiekę Bożą w każdej sytuacji – opowiadała – bo przecież już wcześniej pracując w przemyśle ciężkim, mając troje dzieci i męża szykanowanego za pochodzenie oraz mając ubeckie propozycje musiałam naprawdę szukać oparcia w Bogu. A jak się ma to oparcie, to już nie można narzekać. I to daje siłę działania, która jest przygodą życia! I daje radość, bo widzę sens w tym wszystkim!

Zajęła się wtedy zarobkowo myciem okien, a społecznie dziećmi rodziców internowanych. A z tego właśnie, z doświadczeniem Sekcji Rodzin KIK, wyrosło Przymierze Rodzin.

- Jego ośrodki terenowe – pisze teraz na portalu Przymierza Rodzin dr Hanna Rembertowicz, wieloletnia „prezesa” takiego ośrodka przy parafii Zbawiciela w Warszawie - „działały w zasadzie nielegalnie. Część miała przykrywkę koła PTTK przy parafii. Brak formalnych podstaw stanowił dużą trudność szczególnie przy organizacji obozów. Zdarzało się, że obóz władze miejscowe chciały rozpędzić.

Z biegiem czasu Iza doprowadziła do bliskiej współpracy Ośrodków, cała organizacja zaczęła nazywać się Przymierze Rodzin a ośrodki Terenowymi Ośrodkami Przymierza Rodzin. Krok po kroku, ale dopiero w wolnej Polsce Przymierze Rodzin zostało formalnie zarejestrowane jako Organizacja Pożytku Publicznego. Iza wyszukiwała miejsca na obozy, starała się o dary żywnościowe z zagranicy, o dofinansowanie dla potrzebujących. Zdobywała namioty, sprzęt obozowy. Sobie tylko znanym sposobem przywoziła ze Szwajcarii buty i narty. Sama po nie pojechała”.

A kiedy przyszły nowe możliwości, wyrosły nowe marzenia: szkoły i świetlice. Trzeba było – jak przy kucyku – pomyśleć jak na to zarobić. Były bale, pikniki, kwesty i cegiełki oraz poszukiwanie pomocy wśród krewnych i znajomych na zachodzie. „Iza znów zgromadziła zespół, tym razem bardzo duży, znowu przekonała do celowości tej inicjatywy, a tym, co wątpili w możliwość realizacji (było ich dużo) powtarzała swoje...ależ dlaczego? – pisze dr Rembertowicz - bez pieniędzy, bez terenu, na którym można postawić budynki. Czyste szaleństwo. A teraz szkół jest kilka i nie tylko w Warszawie. I znów zespół ludzi do różnych zadań i znów budowa gmachu. Znowu wielu wątpiących w możliwość realizacji tego projektu. Jak niemożliwe uczynić realnym? „

Już ponad dwadzieścia lat temu pisałam w Tygodniku „Solidarność” o ludziach, którzy przyjeżdżali z całego kraju prosić Izę, żeby założyła im szkołę – a ona mówiła, że muszą sami wziąć się do tego dzieła, ona może im tylko pomóc i wskazać drogę, ale to oni muszą mieć zapał, wytrwałość, wolę i chęci. Pisałam o różnych jej akcjach, wystąpieniach i czynach, bo Izabela Dzieduszycka zawsze była wspaniałym tematem dla reportera: najnowszym i ostatnim dziełem było odzyskanie pałacu Dzieduszyckich w Zarzeczu koło Jarosławia i przekazanie go gminie Zarzecze na muzeum i centrum kultury.

- Tyle dobra i to wszystko dzięki tej miłej, niewysokiej pani, która potrafiła poderwać do współpracy tak wiele osób i które teraz mówią: dziękujemy Izo! – napisała dr Hanna Rembertowiczowa która współdziałała z Izabelą Dzieduszycką przez wiele, wiele lat .

A na mnie największe wrażenie zrobiło kiedyś jej krótkie przemówienie na zakończenie roku szkolnego, kiedy życzyła dzieciom i morza, i gór, i żaglówek i rowerów – ale przede wszystkim choćby jednego tygodnia razem z mama i tata. Wakacji z rodzicami!

- Absolutnie największą wartością w kategoriach ludzkich jest rodzina – zapisałam w notatkach jej słowa wiele lat temu. I dawała temu wyraz .

Izabela Dzieduszycka zmarła w dzień Bozego Narodzenia, w domu, w otoczeniu rodziny. Miała 92 lata.